ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 22-go Kwietnia 1897. **Nr. 16.**

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Pomidory jako pokarm i lekarstwo.

Do roślin zasługujących u nas na większą uwagę i szersze rozpowszechnienie, należy bezsprzecznie pomidor. Roślinę tę sprowadzono do południowej Europy z Peru, t. j. z tej samej amerykańskiej krainy, z której ziemniaki pochodzą.

Własności tych dużych, czerwonych, lub też złotożółtawych owoców musiały zapewne nawet uderzyć prostaczków, którzy ich tamże używali rozmaicie bez zastanowienia się nad pytaniem, dla czego tak działają. Nie wiedziano o żadnych leczniczych przymiotach rośliny, a jednak używano jej po temu. W gorących krajach kładziono na łodygi tej rośliny owoce suszone na słońcu, liście wtykano w kupy zboża, w mieszkaniach wieszano wieńce ku ochronie przed zaraźliwemi chorobami.

Rozumie się, że śliczne, soczyste owoce krzakowatej tej rośliny przynęcały także do jedzenia ich. Na surowo spożywa się je zwykle z małą domieszką soku cytrynowego, lub też soli, oliwy i cukru; najdelikatniejszy smak posiadają jednakowoż surowe bez wszelkiego dodatku i można się do owoców tych łatwo przyzwyczaić. Przedewszystkiem jednak używają pomidorów w kuchni, a mianowicie do polewek, które przez pomidory szczególnie wybornego nabierają smaku; powinny tu pomidory zastąpić wszelkie ostre przyprawy, jak paprykę, pieprz itd. W krajach, w których pomidory dziko rosną, używane bywają nie tylko jako pokarm, ale także jako lekarstwo i jako takie wysoko są cenione. Pomidor zawiera bowiem w sobie dużo siarki, ale siarki przez przyrodę najczulej odważonej i odmierzonej i to w takiem połączeniu, w którem ciało może ją sobie należycie przyswoić. Ciało ludzkie potrzebuje niezbędnie pewnych minerałów do odżywiania. Ale te sole mineralne, znajdujące się w surowym stanie ziemi, powinny wedle prawa przyrody wprzód być przerobionemi w roślinie na organiczne substancye złożone, potem dopiero może je sobie ciało nasze przywłaszczyć.

Niestety, po dziś dzień zapisywanemi bywają często siarka, żelazo, wapno, żywe srebro (rtęć) przeciw różnym chorobom, tak, jak sztucznie w fabrykach



Przywódzca grecki na Krecie jenerał Vassos.

przez chemika sporządzone zostały. Udowodniono należycie, że sole te działają w ustroju człowieka tylko drażniąco, często wprost trująco, obciążając je i zniżając siłę żywotną. Zresztą łatwo się każdy o różnicy substancyi tych przekonać może, gdy tylko porówna lub skosztuje np. siarkę z apteki kupioną lub z dawniej używanych siarników a siarkę, znajdującą się w bylicy, szpinaku lub pomidorze. Siarka jest podobno koniecznie potrzebną do budowy i odnawiania naszych nerwów, a zatem spożywanie roślin i owoców, zawierających ją, ma dla nas wielkie znaczenie.

Sok z pomidorów polecanym także bywa, jako znakomite lekarstwo na cierpienia wątroby i pęcherza. Pomidory rosną bujnie u nas także na roli lżejszej, kiedy tylko w Czerwcu i Lipcu dosyć wilgoci, a w czasie dojrzewania dosyć mają słońca. Ale nawet z owoców nie zupełnie dojrzałych można mieć wyborny kompot, kiedy się je z łupinami pomarańczowemi sporządzi.

Zachęcając nasze gosposie do częstszego zastósowywania pomidorów przy sporządzaniu potraw, zwracamy im zarazem uwagę, że rozumna, umiejętna i z hygieną obeznana gospodyni, znająca się i pilnująca kuchni, najlepiej podtrzymuje zdrowie swej rodziny a jej kuchnia zastępuje aptekę.

Uszanowanie starca.

Życie ludzkie zwykle mierzy się na lata. I gdy widzimy włos siwy, czoło poorane, ramiona pochylone, przedstawiajmy sobie długi szereg lat człowieka starego, szanujmy jego doświadczenia, a zarazem pytajmy się, ile ten człowiek przecierpiał, ile zdziałał, jak zasłużył się narodowi.

Gdyby przecież można zważyć życie człowieka wedle tego, jak on poświęcił je wytrwałej pracy, poczciwości i prawdzie, jak on w niem nic nie stracił marnie, ileżby ono wydało się dłuższe jeszcze; człowiek, choć co do lat niestary, przewyższyłby pod względem zasługi życie niejedno długie a próżne.

Każdy z ludzi winien się starać o to, aby życie jego nie liczyło się tylko na lata, ale na lata pracy i zasługi, ale każdy też, choćby najbardziej zasłużony, powinien starca uszanować.

Oto dziś opowiemy piękne zdarzenie.

Było to czasów króla Stefana Batorego. Król ten zmuszony był prowadzić wojnę z Moskwą, która się długo ciągnęła, aż wreszcie roku 1582 została przerwaną chwilową ugodą.

Jan Zamojski, sławny hetman i doradzca królewski, po długim pobycie w polu w czasie zimy, wracał do domu. Choć zmęczony, choć pragnął co najprędzej być w domu, szanując obyczaj dawny, w Sobotę wieczór został we Lwowie, aby w Niedzielę nie jechać i nie opuścić Mszy św.

Zamojskiego imię było głośne. Każdy w kraju wiedział, że roztropnie i poczciwie dla sprawy ojczystej pracuje, każdy też skoro usłyszał, że hetman jest we Lwowie i u księży Dominikanów będzie na Mszy św., spieszył tam, aby ukochanego bohatera zobaczyć. Z tej przyczyny powstał w kościele ścisk wielki.

W czasie kazania szmer jakiś dał się słyszeć. Ten i ów obrócił się ku drzwiom. Spojrzał też i hetman Zamojski, siedzący na miejscu wywyższonem przy wielkim ołtarzu. Z pomiędzy niezliczonego tłumu wysunął się starzec siwy jak gołąbek, oparty na kiju, a tak był osłabiony, że ledwie szedł. Czoło jego poorane starością, otoczone bliznami, dowodziło, że człowiek ten musiał życie pędzić w twardej służbie obrońcy narodu.

Staruszek stanął z daleka i z zachwyceniem patrzył na młodego hetmana. Zamojski jednak widząc, że nikt w kościele staruszkowi nie robi miejsca, dał mu znak, aby usiadł koło niego. Łza zakręciła się w oczach starego wojownika. Skłonił się i podziękował.

Ale Zamojski powstał na to, zbliżył się do starca, wziął go za rękę, przyprowadził na swe miejsce i zmusił go, by usiadł razem z nim.

— Panie! — szepnął starzec — tyś starszy... hetman, mąż znany w narodzie, a ja ubogi starzec.

— Bliznami i wiekiem tyś starszy nademnie — rzekł Zamojski i dalej słuchał kazania, a potem Mszy św.

Wszyscy obecni nie mogli wyjść z zadziwienia.

Słusznie też potem napisano w księgach starych te słowa: Sławą i potęgą stał wyżej nad sta i tysiące ludzi, wielką duszą zasługi nad krocie i miliony, a przecież pierwszeństwo oddał starcowi.

ŚWIATŁO
Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 22-go Kwietnia 1897. Nr. 16.

„Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczce (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.
OPOWIADANIE HISTORYCZNE
przez
ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

III.
Groźne chmury.

Z pochmurnem okiem, wyciągnięty niedbale na dywanie i znudzony czytaniem ówczesnej gazety rządowej, zwanej acta diurna, oczekiwał Maksencyusz Sofronii.

Jak obraz jego na monetach wskazuje, był on w całej postawie i postępowaniu naturą prostacką i barbarzyńską. Wysokiego wzrostu, szeroki w barkach, przedstawiał obraz siły nieokrzesanej i bezwzględnej. Na niskie czoło spadały mu włosy aż do oczu nieomal; okrągła, gruba głowa spoczywała na tłustym karku: w oczach przenikliwych tkwiło coś bezczelnego. Sam on się lubił z Herkulesem porównywać; przybocznej straży swojej, która się z największych i najmocniejszych żołnierzy składała, nadał nazwę dzieci Herkulesa.

Maksencyusz skończył właśnie czytać gazetę i pełen niecierpliwości zamierzał drugiego posła do mieszkania Sofronii posłać, gdy mu oznajmiono, że przybył poseł z bardzo pilnym i ważnem listem.

— Niech go zaniesie prefektowi kancelaryi Herakliuszowi, — albo komu chce! — odpowiedział cesarz ziewając. Zaraz jednak przypomniawszy sobie, że list będzie niezawodnie zawierał wiadomości z pola walki w Górnych Włoszech, kazał go sobie podać.

— Choć szczupak w sieci, w którą go zwabiłem, — tak pisał cesarz do Rufusa w odpowiedzi, — przerwie to i owo oko, rzucania się i podrygów z pewnością zapomni. Zapłacę ci za tę rybę Galią jako prowincyą.

Tak było w istocie; poseł przybył od cesarskiego wodza Rufusa, który wojskiem w Górnych Włoszech dowodził.

Maksencyusz otworzył list a im dalej czytał, tem twarz jego posępniejszy przybierała wyraz.

O tem, że Konstantyn przeszedł góry Alpejskie i pod Turynem zwycięztwo odniósł, wiedział z dawniejszych listów, lecz zwycięztwo to lekce sobie ważył. Wierzył on tak bardzo w wielki talent swego wodza Rufusa, wypróbowany mianowicie w wojnie Egipskiej, że nie wątpił, iż tenże pozwolił się pobić z przebiegłości, ażeby następnie przeciwnika tem skuteczniej zmiażdżyć. Lada dzień oczekiwał głowy Konstantyna.

Tymczasem Rufus pisał mu, że po zdobyciu warowni Turyńskiej nieprzyjaciel w pospiesznych marszach najprzód pod Brescią, a potem pod Weroną wojska cesarskie na głowę pobił a Weronę

wziął szturmem. Dowódzca załogi Werońskiej, Rusicius poległ. Tak w Turynie, jak w Weronie, Konstantyn wbrew zwyczajowi wojennemu darował pozostałym z załóg żołnierzom życie i wolność. Z Weroną całe Górne Włochy są stracone. Nadzwyczajnie gwałtowne posuwanie się naprzód nieprzyjaciela, jako też zniechęcenie żołnierzy cesarskich nie pozwala stawić czoła nieprzyjacielowi w dolinie rzeki Po. Wydał przeto rozkaz, aby obsadzić wąwozy gór Apenińskich celem zyskania na czasie i zamierza w pobliżu Florencyi nowe wojsko zgromadzić. Jak najsilniej uprasza cesarza o przysłanie mu w pomoc tyle wojska, ile podobna, szczególnie zaś od dawna z upragnieniem oczekiwanych legionów z Sycylii i Afryki.

Wszystko to były wiadomości bardzo złe.

Maksencyusz rozgniewany rzucił nieszczęśliwy list, nie przeczytawszy go do końca i depcąc go, wołał:

— Florencya? Florencya? Ha, ten zdrajca! Jak można wydać Placentią, Parmę i Bononią dobrowolnie na łup nieprzyjacielowi! Dla czegóż ja sam nie pospieszyłem na czele moich legionów przeciwko wrogom, aby jak Herkules schwytać żywo tego dzika, który wpadł w moje pola.

Potem zaczął cesarz chodzić po komnacie pełen wściekłości.

Czyż podobna, aby Rufus, niezwyciężony nigdy jeszcze, wódz przegrał bitwy, aby jego najlepsze legiony, dwa razy tak liczne, jak wojsko Konstantyna, trzy razy zostało pobite? A jak wielkie muszą być klęski, skoro cała armia w rozsypce!

Wreszcie przypomniał sobie Maksencyusz, że jeszcze całego listu do końca nie przeczytał. Podniósł go przeto z ziemi i czytał:

— Jak Gordyanus, wiernie nam oddany kapłan Mitrasa w wojsku Konstantyna mi donosi, kazał tenże podobno skutkiem zjawiska na niebiosach, zrobić nowy sztandar wojenny, na którym w skromności swój własny obraz w postaci boga słońca umieścił, ponad nim zaś tajemniczy znak, mający oznaczać Boga chrześcian. Jakkolwiek bajka o niebieskiem zjawisku niewątpliwie jest zmyślona przez Konstantyna, gdy po hulaszczej zabawie w oczach mu się dwoiło, to jednak żołnierze jego, po większej części chrześcianie, dokonują pod tym sztandarem cudów waleczności.

Przed ostatnią bitwą wybrałem z legionów pięćset najmężniejszych naszych żołnierzy i przyrzekłem im najwyższe nagrody i stopnie, skoro ów sztandar zdobędą. Jak żyję nie widziałem tak zaciętej walki; lecz ów sztandar, jakby nieznaną siłą trzymany, nie zachwiał się; wszyscy żołnierze z owych pięciu set zginęli co do jednego«.

— Tak, — zgrzytnął Maksencyusz, zaciskając pięści, — tak, Nazareńczyki godzą na moją koronę i życie? O wy psy parszywe, odpłacacie mi się za to, że was z łańcucha spuściłem? Boski Dyoklecyan oszacował was trafnie i słusznie; dla czegom zniósł jego dekrety?

W tej chwili drżąc przed gniewem pana swego, wszedł wyzwoleniec, którego Maksencyusz do Sofronii był posłał, i doniósł, że owa niewiasta śmierć sobie zadała, mówiąc iż jest chrześcianką i dla tego nigdy rozkazu cesarskiego posłuchać nie może.

Ta wiadomość nie wzbudziła w piersiach Maksencyusza wyrzutów sumienia.

— Jest chrześcianką i dla tego nigdy rozkazu cesarskiego nie posłucha? — powtórzył z wstrętnym śmiechem. — Tak oni wszyscy są zdrajcami, od ostatniego żebraka do ich biskupa Milcyadesa. Jakby tryumfowali, gdyby Konstantyn wszedł do Rzymu! Lecz na nieśmiertelne bogi! Zasolę wam polewkę! Idź do Herakliusza, — zawołał na wyzwoleńca, — i powiedz mu, aby po jedzeniu przybył do mnie; on musi wygubić to robactwo z mego kożucha.

Pełen srogiego gniewu chodził cesarz po komnacie i rozważał. Skoro rok temu kilka set obywateli rzymskich pretoryanom i swoim dzieciom Herkulesa ściąć kazał, dla czegóżby teraz nie

miał kilku tysięcy chrześcian zapędzić do amfiteatru i zamordować?

— Lecz tego robactwa nie można wygubić; jak mole w wełnie, tak oni zagnieździli się w całem mieście a nawet w pałacu cesarskim. A jakże pożądany pozór podałbym owemu galilejskiemu opryszkowi! Udawałby obrońcę rzymskiego ludu, skorobym gromadę tych łotrów uśmiercił!

Myśl cesarza zwróciła się następnie do swojego własnego położenia. Skoro Rufus pod Florencyą jeszcze raz zostanie pobity, natenczas Konstantyn ma drogę do Rzymu otwartą.

— Każę naprawić mury miejskie i wzmocnić je wałami i fosami. Niech spróbują te psy zakraść się do mojej nory: z krwawym pyskiem będą odchodzili.

W tym momencie wszedł niewolnik z oznajmieniem, że sam Rufus uprasza o łaskę stawienia się przed oblicze cesarskie. Z powodu niekorzystnego położenia, Rufus krótko po odesłaniu listu, postanowił sam z cesarzem pomówić i przedłożyć mu plan wojny, który podług jego zdania jedynie mógł uratować cesarza. Oddawszy przeto dowództwo jednemu z podwładnych wodzów, ruszył na łeb, na szyję do Rzymu i przybył tamdotąd niedługo po swoim posłańcu.

Maksencyusz był ździwiony nagłem zjawieniem się Rufusa; to, co mu tenże powiedział, przekonało go, że sprawa jeszcze gorzej się przedstawia, aniżeli z listu wynikało.

— Każę umocnić Rzym — zawołał cesarz — i przygotować się do obrony. Prędzej kamień na kamieniu z niego nie pozostanie, zanim go oddam Konstantynowi.

— Skoro Konstantyn stanie przed bramami miasta, — odrzekł na to Rufus otwarcie i śmiało, — na nic ci się panie, nie przydadzą mury i wały. Nie jesteśmy zgoła przygotowani na oblężenie; przedewszystkiem brak nam żywności. Przeszłoroczny głód wypróżnił magazyny a wątpię bardzo, czy prefekt Rufinus zdołał je napełnić z plonów ostatniego lichego żniwa.

— Każę go żywo upiec, — krzyknął Maksencyusz zniecierpliwiony, — jeżeli śpichlerze są próżne. Mam z nim zresztą gwoli jego żony pewne obrachunki. W każdym razie zasoby starczą przynajmniej dla legionów na kilka miesięcy.

— I cóż ci z tego, o panie, — odpowiedział Rufus, — że w Rzymie dwa lub trzy miesiące się utrzymasz? Czyś nadto pewny, że lud nie podniesie buntu w obleganem mieście?

— Lud ma bunt podnieść? — zaśmiał się cesarz. — Jak błazen swemu psu, tak ja z krwawym biczem w ręku każę temu ludowi przedemną tańczyć. Lecz powiedz nakoniec, jakie ty masz plany?

— Rzymu przed Konstantynem zbyt długo nie obronisz, — odpowiedział wódz; — radzę tedy opuścić go i udać się do Sycylii i afrykańskich prowincyi; tam możesz zebrać świeże wojsko i przypłynąć z niem na okrętach do ujścia Tybru. Ja z legionami mymi cofnę się do Kapuy. Konstantyn zająwszy Rzym, pozostawi nas tymczasem w spokoju a z wiosną ruszymy przeciwko niemu lądem i od morza. Przy tem liczę z pewnością jako na sprzymierzeńców na innych cesarzy, dla których Konstantyn byłby niebezpiecznym, będąc w posiadaniu Brytanii, Galii, Włoch i Afryki.

— Namyślę się nad twoim planem, — rzekł Maksencyusz, wysłuchawszy słów Rufusa. — Ha, ha! Gdyby mnie Konstantyn w moc swoję dostał, z pewnością by mi kazał uciąć głowę i obnosić ją na żerdzi po wszystkich miastach całego państwa rzymskiego. Ja obiecuję, że uczyniłbym tak z jego głową.

— Jeżeli go zdołasz chwycić, — dodał sucho Rufus.

— Skoro mam Rzym opuścić, — mówił cesarz podrażniony ostatniemi słowami wodza, — natenczas zapalę go na czterech rogach i przysięgam ci, że Nero był w porównaniu ze mną nie-

zgrabiarzem w podpalaniu. Wiem, że mogę liczyć na żołnierzy.

Rufus był Rzymianinem dawnej daty; straszna groźba cesarza oburzyła go, jak niemniej i to, że żołnierze przy podpalaniu pomocni być mieli. Zmarszczył czoło, wlepił bystre oczy na Maksencyusza i rzekł:

— Możesz liczyć na mnie i na wojsko w walce.

Tyran zrozumiał, co Rufus miał na myśli, z naciskiem ostatnie słowo swej odpowiedzi wymawiając.

Tymczasem sługa oznajmił, że jest godzina szósta czyli czas obiadu.

— Nie dajmy sobie zepsuć obiadu Konstantynem, — rzekł Maksencyusz, — przy ognistem winie z Falernu łatwiej się w tej sprawie dogadamy.

Wieczorem tego samego dnia wracał Rufus do obozu bardzo niezadowolony, albowiem cesarz planu jego nie przyjął, lecz ufając zapewnieniom wróżbitów i wykładaczy znaków, nakazał mu, ażeby się z wojskiem na Rzym cofał wolno i wśród ciągłych walk; w ten sposób sądził cesarz, że zdoła zyskać dosyć czasu do sprowadzenia z południa legionów na pomoc.

Tego samego dnia siedział w przedsionku Tytusa młody senator Symmachus z okiem zwróconem na marmurową grupę Laokoona, umieszczoną w zagłębieniu tylnej ściany przedsionka.

Nie było w Rzymie dumniejszego Rzymianina ani gorliwszego czciciela bogów od niego.

Pomiędzy garstką czcigodnych mężów, żyjących wówczas w zepsutym Rzymie, był on jednym z najczcigodniejszych; surowych obyczajów, wykształcony, z starożytnego rodu szlacheckiego był przy tem nadzwyczajnie bogaty. Nieraz już ofiarował mu Maksencyusz wysokie urzędy, lecz Symmachus nigdy ich nie przyjął, bo nie chciał być sługą tyrana. Nie brał udziału w sprawach publicznych, bo był zniechęcony upadkiem moralnym i zwyrodnieniem Rzymian i pełen gniewu na senatorów i rycerzy, który nie dbając o sławę przodków, znosili wybryki i zbrodnie, jakich się Maksencyusz względem nich i rodzin dopuszczał. Czynili to dla tego, ażeby życie i majątek zachować. Symmachus starał się tylko o wychowanie syna, będącego wówczas jeszcze chłopcem. Później miał z niego wyrość świetny mówca i obrońca upadających bogów pogańskich.

Czy tragiczny koniec Sofronii, czy wiadomości z pola bitwy, otrzymywane tajnym sposobem, zasępiały jego czoło? Jedno i drugie po części, a jednak senator nie uczuwał miłosierdzia nad śmiercią niewiasty, która jako chrześcianka umarła ani też współczucia dla zagrożonej władzy Maksencyusza, którym tak samo pogardzał, jak Konstantyna nienawidził.

Z zamysłów ponurych zbudziło go przybycie starca, który mile się uśmiechając, do niego się zbliżył i rękę mu na powitanie podał.

Czoło Symmachusa wygładziło się także na widok starca; był to bowiem jego dawniejszy nauczyciel, Laktancyusz Firmianus, który go ongi na dworze Dyoklecyana uczył wymowy.

— Nieomal ośm lat upłynęło, — odezwał się starzec, — jak z Azyi do Rzymu wróciłeś. Nie sądziłem, iż cię jeszcze kiedy w życiu zobaczę. Szczęśliwe zdarzenie sprowadziło mnie jednak znowu do złotego Rzymu, panującemu nad światem.

— Jeżeli to uważasz za szczęście, to niebawem pewnie zmienisz zdanie, — odpowiedział Symmachus, marszcząc czoło.

— Dopiero wczoraj przybyłem, — odpowiedział Laktancyusz, — lecz już o wielu złych rzeczach się dowiedziałem. Z głębi serca też ubolewam i płaczę nad śmiercią szlachetnej Sofronii. Poznałem ją w Nikomedii i podziwiałem jej wielkiego ducha i szlachetne serce. Czyn owej niewiasty byłby na mnie wrażenie wywarł, gdyby Sofronia nie jako przesadzona chrześcianka, lecz jak prawdziwa Rzymianka z zimną krwią i stałym spokojem, jak owa Lukrecya, była sobie nóż w piersi wbiła. Mnie oburza najwięcej, że nawet prefekt Rzy-

mu, nieskazitelności domu swego uchować nie może przed zasadzkami cesarskiego tyrana. Lecz jeszcze większa hańba ztąd, iż w całym Rzymie nie znalazł się nikt, któryby jak Brutus skrwawiony nóż podnieść się ośmielił. Opowiadano mi także o Konstantynie, o jego zwycięstwach nad Rufusem i jak niepowstrzymanie posunął się aż do Umbrii. Nie rozpoznajesz w nim narzędzia potężniejszej ręki, karzącej zbrodnie Maksencyusza?

swoją bywa tak przez Maksencyusza, jak przez Konstantyna trapiony i w śmiertelnem objęciu duszony. Tylko w tym punkcie porównanie nie jest trafne, że węży zgodnie ofiary swoje gnębią, podczas gdy ci dwaj ze zdwojoną żądzą krwi na wyścigi łup rozdzierają.

— Nie, nie, — zawołał Laktancyusz żywo, — nie powinieneś porównywać Konstantyna z wężem, ani go porównywać z Maksencyuszem.



PIERWSZA PRÓBA SZYCIA.

Na to pytanie Symmachus nie odpowiedział zaraz, lecz spoglądając na Laktancyusza śmiał się wzgardliwie. Po chwili zaś wskazując na rzeźbę Laokoona, rzekł:

— Spojrzyj na tę rzeźbę i patrz dokładnie! Czy widzisz, jak Laokoon ściśnięty splotami dwóch wężów w niemej boleści się wije i ku niebiosom jęki posyła? Widzisz, jak obaj synowie jego, opleceni wężami, krzyki wznoszą ku ojcu, który im pomocy dać nie może? To obraz Rzymu, który z ludnością

— Nie znasz go poczciwy starcze, — odrzekł Symmachus z gorzkim uśmiechem. — Ty sądzisz, że on podobny jest ojcu swemu, Konstancyuszowi Chlorusowi a zapominasz, że jego matka Helena była służebną w Dacyi, z niskiego rodu pochodzi i przy tem jest chrześcianką.

Laktancyusz nie wypowiedział słów, które miał na języku. Senator zaś głosem drżącym z wzruszenia mówił dalej:

— Czy wiesz, że Konstanty przeklęte imię boga chrześcian na swoim

sztandarze wojennym umieścić kazał? O Rzymie, Rzymie, Galowie i Kartagińczycy nie zadali ci tyle niesławy, ile ci ich ten cesarz na czele rzymskich legionów gotuje! Laktancyuszu, jeżeli ci jak sędziwemu Homerowi, źródło poezyi w piersiach nie wyschło, podnieś głos w obronie nieśmiertelnych bogów przeciwko owemu ukrzyżowanemu Żydowi, którego Konstantyn chce posadzić na tronie Jowisza.

Bolesny uśmiech pokazał się na twarzy starca i zaraz zniknął. Ongi jako czciciel bogów zwalczał jako poeta i mówca chrześciaństwo i to mu zjednało łaskę Dyoklecyana. Nagle tknięty łaską i nawrócony do Chrystusa, niestrudzenie słowem i piórem, wierszami i filozoficznemi książkami nowej wiary swojej bronił a pogaństwo zwalczał, aby dawniej dane zgorszenie naprawić. Jaką boleścią przejmowało go to, że dawniejszych jego wierszy na uczczenie pogańskich bożków jeszcze nie zapomniano, podczas gdy jego pisma, broniące chrześciaństwa nawet dawniejszym uczniom jego jeszcze znane nie były.

Na słowa Symmachusa potrząsnął głową i odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

— Jeśli Jowisz sam nie może spuszczać gromów, aby tronu swego bronić i gdy dzida Minerwy a łuk Apollina są strzaskane, jakże potrafi pióro w ręku starca zachować bogów Rzymu przed upadkiem?

Symmachus chciał na to coś odpowiedzieć, gdy w tem kilku obcych weszło do przedsionka a przewodnik krzykliwym głosem objaśniał im rzeźbę Laokoona. Obrażony słowami Laktancyusza, gniewny na nieproszonych przybyszów, pożegnał Symmachus krótko swego mistrza i oddalił się spiesznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIENIĄDZE W POLSCE.

(Dokończenie.)

W okresie jagiellońskim przez cały wiek 15 sprawa monetarna na Litwie nie była uporządkowana. W małej ilości krążyły monety dawnych Gedyminowiczów z herbem kolumny. Panowie lub złotnicy odlewali tam z czystego srebra podłużne sztabki zwane rublami. Przez stosunki z Polską wchodziły grosze, a Świdrygiełło bił podobno półgroszki. Gdańsk od roku 1455, a oprócz niego Toruń, Elbląg, Wschowa, Poznań i Lwów używają przywilejów bicia własnej monety. Przez spekulacye mennicze grosz szeroki srebrny podlał, tak że w roku 1496 już 30 groszy takich idzie na jeden czerwony złoty czyli dukat. Gdy grosz upadł, nastąpił okres złotowy. Złotym nazywał się wówczas prawdziwy złoty t. j. ze złota, czerwony złoty, dukat, którego kurs oznaczony został na 30 groszy srebrnych. Ten stósunek grosza jako 30-tej części złotego utrzymał się do naszych czasów. Tylko że przy ciągłej obniżce kursu monet w całej Europie, nazwa »złotego« ciągle spadając, zaczęła nareszcie w wieku 17 oznaczać złotówkę srebrną, a grosz przeszedł w wieku 18 na miedziaka żebraczego. W prawodawstwie ukazuje się czerwony złoty w roku 1504, ale już w roku 1502 rachunki skarbu królewskiego obliczone są na »złote.«

Król Zygmunt I był o monetę troskliwym i panowanie jego stanowi epokę ze względu na udoskonalenie techniczne i na wprowadzony za niego zwyczaj umieszczania na monetach popiersia królewskiego i roku bicia monety. Pierwszą datą wybitą na polskich monetach był rok 1507. Ponieważ Zygmunt I bił dukaty z dobrego złota i dobrej wagi, nie stósując się do zniżenia ceny monet srebrnych, przeto »czerwony złoty« za jego panowania musiał się oddzielić od

»złotego polskiego«, 30-groszowego, a w roku śmierci tego króla 1548 za »złoty czerwony« płacono już po groszy 51.

Od roku 1518 ukazują się talary w Czechach. Zygmunt I kazał je bić w Polsce od roku 1528. Szły z początku po groszy 30, a więc równały się złotemu polskiemu, czyli dawnemu dukatowi, wkrótce jednak zaczęły się w cenie podnosić. Zygmunt August bił wykwintną monetę swoją wyłącznie w mennicach litewskich w Wilnie i Tykocinie. Gdy zaś przyjął Inflanty pod berło swoje, przybyła moneta inflancka, i od roku 1581 zastósowana do stopy polskiej moneta miasta Rygi ze znakami królów polskich.

Stefan Batory urządził mennice w Olkuszu do wybijania pieniędzy koronnych z miejscowej kopalni srebra a za jego panowania i pierwszych lat Zygmunta III wychodziły w Polsce najlepsze co do stopy i wagi pieniądze. Napływ atoli srebra do Europy z Ameryki obniżał jego cenę i w Polsce. Za korzec żyta w Krakowie płacono tylko 8 groszy, pszenicy 16 groszy, za kurę 1½ grosza, za parę butów 19 gr., cieśla pobierał dziennie 4 i pół grosza. Zygmunt III, wśród ciągłych wojen, szukał powiększenia dochodu z mennicy przez bicie drobnej monety z gorszego kruszcu, aż musiał nareszcie zrzec się swego przywileju bicia pieniędzy i oddać mennicę z jej zyskami pod zarząd kraju. Pieniądze te wszakże były jeszcze lepsze od zagranicznych i sejm z roku 1620 zabraniał wprowadzenia monet obcych do kraju, prócz talarów i dukatów. Pod względem zewnętrznym przedstawiają się monety Zygmunta III okazale, mianowicie talary podwójne i dawane na pamiątkę 10-dukatowe portugały i 5-dukatowe półportugały.

Od roku 1621 ukazał się nowy gatunek monety w Bydgoszczy, ort, czyli czwarta część talara, wybijany w ilości 28 sztuk z grzywny krakowskiej, o 11 łutach srebra na 5 domieszki. Władysław IV na sejmie koronacyjnym roku 1633 zrzekł się zarządu mennicą, która już od roku 1627 nie wypuszczała wcale monety drobnej, tylko dukaty, talary i portugały i to w ilości niedostatecznej, co spowodowało ogromny napływ drobnej, lichej monety zagranicznej. Od roku 1658 zaczęła się straszna epoka wojen kozacko-tatarskich, moskiewskiej, szwedzkiej i pomniejszych. Wśród powszechnej ruiny, gdy źródła podatkowe wysychały, sejm w roku 1654 zmuszony był chwycić się spekulacyi mennicznych, na zniżeniu wartości monety opartych. W r. 1659 przyszło do użycia miedzi na monetę bez żadnego pobielania. Wykonywał te uchwały Tytus Boratyni, dzierżawca mennicy, a w roku 1663 upoważniono innego dzierżawcę Andrzeja Tümpe czyli Tympfa do wybijania złotówek po 30 sztuk z grzywny pół na pół z miedzią zmieszanej. Była to pierwsza moneta jako »złotówka« polska z jednej sztuki, liczbą XXX oznaczona, której połowiczną wartość realną chciano podnieść napisem przypominającym obowiązki obywatelskiej ofiarności: Dat pretium servata salus potior q. metallo est, czyli »Cenę daje ocalenie kraju i to lepszem jest od kruszcu«. W mennicach: lwowskiej, krakowskiej i bydgoskiej przez 3 lata wybito tych złotówek, zwanych tymfami, 6 milionów sztuk. Naród dotknięty materyalnie, nie uwzględniał ciężkich okoliczności jakie przymusiły Jana Kazimierza do podobnej gospodarki, i w literach królewskich na tej monecie J. C. R. czytał wyrazy: Initium Calamitatis Regni, t. j. początek niedoli królestwa. Właściwa jednak przyczyna tej niedoli tkwiła w niezmiernem zubożeniu kraju, spustoszonego rabunkami i pożogą.

August II Sas nie otwierał mennic w Polsce, tylko podskarbi litewski Ludwik Pociej wybił w Grodnie r. 1706 i 1707 nieco lichych szóstaków, nazwanych »ludzkim płaczem«, od litery L. P. Stronnictwo Leszczyńskiego wywołało ten pieniądz z obiegu. Bito jednak w Lipsku na stopę polską bez upoważnienia sejmu i rady senatu różne monety srebrne i złote z imieniem i wizerunkiem królewskim.

Za Augusta III przyszła nowa klęska. W czasie wojny 7-letniej, Fryderyk II król pruski, znalazłszy w Dreźnie mennicę polską, osadził w niej żyda berlińskiego Efraima i kazał mu bić monetę fałszywą polską z popiersiem Augusta III. Cała Polska wtedy zalana została powodzią dwuzłotówek bitych przez Efraima, które nazywane efraimkami lub bąkami, w ogromnych sumach napływały w latach 1757—1763 do prawo bicia monety na jego zysk i rachunek. Król ten ofiarował własną posiadłość na mennicę w Warszawie przy ulicy Bielańskiej, gdzie przez cały wiek była czynną. Nie oglądając się na zyski, sprowadził z zagranicy najbieglejszych artystów i mincarzy, aby zakład jego nie ustępował najlepszym w Europie. Sejm w r. 1766 oznaczył nową stopę menniczną po 80 złp. z grzywny kolońskiej. Złoty polski dzielił się na



Negus Menelik, król Abissynii.

Polski. Podskarbi w. kor. Teodor Wessel w roku 1761 wydał wtedy uniwersał, ogłaszający olbrzymie fałszerstwo z wykazem wartości monet przez Efraima sfałszowanych. Możniejsi zawierali wszystkie tranzakcye na dukaty, które bywały także obcinane dokoła i w takim stanie nazywały się kulfonami. Skuteczną reformę wykonał dopiero Stanisław August, gdy otrzymał od sejmu 1764 roku odjęte królowi przed 137 laty 4 grosze srebrne i na 30 miedzianych, których 120 wybijano z funta miedzi. Na groszach i trojakach z miedzi polskiej dano napis »z miedzi krajowej«. System rozumny i uczciwy dawał najlepsze co do przyszłości nadzieje. Wszystkie tynfy i bąki ogłoszono za wycofane. Teraz ukazała się w biegu złotówka normalna i za taką przez wszystkich uznana. Po latach 20 przekonano się jednak, że moneta srebrna

polska była zbyt dobrą w porównaniu z zagranicznemi, tak, że jak świadczył podskarbi wiel. koronny, wywieziono jej z kraju za 40 milionów złp. Sejm przeto w roku 1786 musiał zmniejszyć stopę grzywny kolońskiej i bić z niej nie 80 ale 83 i pół, a w r. 1794 Rada Najwyższa Narodowa 84 i pół złp.

NIECO O ABISYNII.

Abissynia czyli Habesz, kraj w Afryce wschodniej, ciągnący się od morza Czerwonego ku południo-zachodowi, którego część południowa jeszcze niezupełnie jest znana, wynosi 15—16,000 mil kwadr. z 5,000,000 mieszkańców. Rzeki Nil i Goszob biorą tu swój początek. Kraj ten przerznięty kilku łańcuchami gór, ma klimat w części górzystej umiarkowany, w nizinach zaś i na pobrzeżach gorący i niezdrowy. Ziemia urodzajna, wydaje wszelkiego rodzaju zboże, dwa razy do roku sprzątane. Ze zwierząt domowych znajdują się: konie, muły, woły i osły; z dzikich: słonie, nosorożce, antylopy, bawoły, hyeny, hypopotamy, krokodyle, lwy i lamparty.



Taïtu,
małżonka Negusa Menelika.

Ludność pochodzenia etyjopskiego należy do najwcześniej ucywilizowanych w tej części świata, wiara bowiem chrześciańska rozkrzewiła się tu już w IV-tym wieku naszej ery. W historyi zjawiają się Abissyńczycy po raz pierwszy, jako poddani państwa Axum. Następnie walczą z Mahometanami a od XVI-go wieku z Galasami, przeciwko którym pomagali im Portugalczycy. Władcy Abissynii, zwani Negusami, uznali nad sobą władzę kościelną Rzymu, ale skutkiem wojen zewnętrznych władza ich podupadła, a wielkorządzcy zmienili się w królików i tym sposobem powstało mnóstwo państewek, z których najważniejsze były: Tigre, Amhara (Gondahar) i Szoa. 1850 roku Dedżodży Kâsa pokonał zwierzchnika swego króla Amhary i został roku 1852 panem połudn. i środk. Abissynii, 1855 zaś zagarnąwszy królestwo Tigre, ogłosił się cesarzem, pod imieniem Teodora I, shołdował państwo Szoa i chciał odbudować państwo Abisyńskie w dawnych granicach. Wchodził nawet w bliższe stosunki z Europą, dla podniesienia swego wpływu i urzeczywistnienia swych planów. Ale tyrańskie jego rządy wywołały mnogie bunty, a gdy podejrzliwy cesarz widział w tem sprawę Europejczyków, przeciw którym, zwłaszcza też Anglikom, surowych używał środków, naraził się na wojnę z Anglią i 1868 r. pod Magdala zwyciężony przez generała Napiera odebrał sobie życie. Ponieważ wyprawa ta kosztowała Anglików 8,600,000 funt. szt. i ponieważ historya tego narodu uczy, że niepodobieństwo tam myśleć o założeniu porządnego państwa, więc zwycięzcy natychmiast kraj opuścili, a walki między nowymi władcami znów się odnowiły.

Między nimi odznaczył się król Jan, który też zawładnął Abissynią aż do roku 1889. Wtedy poległ w walce z Mahdystami. Po jego śmierci chwycił królik Szoański, Menelik, władzę w ręce i zmusił innych książąt do hołdownictwa. Na wiosnę 1890 roku kazał się wśród wielkiego przepychu koronować na króla królów (negus negesti) etyjopskich.

Abissyński kościół stanowią chrześcianie w Abissynii. Początek jego u-

tworzenia naznaczają na wiek IV lub na epokę patryarchy aleksandryjskiego Dyjoskora, który jako zwolennik Eutychiusza, potępiony został przez Synod chalcedoński (451 roku). Do upadku jednak kościoła Afrykańskiego był on jego częścią; dziś zaś zjednoczony jest niejako z kościołem koptyjskim z powodu, że swego patryarchę otrzymuje od patryarchy koptyjskiego, przez co przyznaje temuż prymat czyli pierwszeństwo.

Religijność u Abissyńczyków zasadza się na licznych obrzędach, postach (200 dni w roku) świętach, (których oprócz niedzieli i soboty liczą aż do 180) oraz na jałmużnie i pielgrzymce, mianowicie do Jerozolimy. Stary Testament ma tę samą niemal powagę co Nowy.

Chrzest odbywa się przez zanurzanie; komunia pod dwiema postaciami (niewolno splunąć po niej aż po zachodzie słońca). Msza może być odprawioną w tym samym kościele tylko raz w przeciągu dnia. Matka Chrystusa Pana odbiera cześć najwyższą i w modlitwach zwaną jest »stworzycielką świata«. Małżeństwo nie jest sakramentem a nawet nie jest błogosławione przez kapłana. Księża świeccy mogą się żenić, lecz raz tylko. Liczba ich wynosi około 12,000. Oprócz patryarchy są: biskupi, Alakowie (zarządzają majątkiem kościelnym i przyjmują wszelkie ofiary), kapłani, dyakonowie (posługa kościelna; Sanctuarium kościelne dla nich nieprzystępne. Językiem kościelnym jest dawna mowa habeszska, wyszła z użycia potocznego w wieku XIV. Stan kultury tego kościoła jest bardzo niski. W łonie jego istnieje sekta judaistyczno-chrześciańska, której członkowie mieszkają głównie w Symenie i zowią się Falaszowie.

ŻABY O KRÓLA PROSZĄCE.

Po wolnych bagnach bujające żaby
Z wrzaskiem Jowisza*) jęły prosić, aby
Dał też i dla nich króla. — Pan nieba
Rozśmiał się: ale, gdy tego im trzeba,
Upuścił belkę: ta spadłszy na wodę,
Strasznym łoskotem tak lękliwą trzodę
Spłoszyła, że się pokryją bez duszy,
Ni się odezwie żadna, ni ruszy.
Gdy grzęzło w błocie mocarstwo lipowe:
Chcąc się tak złemu przypatrzyć lichu,
Jedna z nich jakoś po cichu
Wymknęła głowę:
A nic strasznego tak zgoła
Nie widząc, siostry przywoła.
Złożywszy one strach niesłychany,
Przypływają na przemiany:
Aż tu i na wierzch miłościwej belki
Wskoczą zuchwałe obywatelki.
Gdy ją tak zelży pływaczek swywola:
Jowiszu! wrzasną, inszego daj króla,
Coby swą mocą nas lepiej ukrócił:
Gdyż ten nic nie wart, któregoś zrzucił.
Wtedy im ześle wodnego węża.
Ten począł chwytać na ząb je srogi,
Jedną po drugiej: darmo niebogi,
Bez siły, i bez oręża,
Od swojej zguby zmykały:
I trunąć nawet nie śmiały.
Tu się z Merkurym pokryjomu znoszą,
I w poselstwie go do Jowisza proszą:
Żeby pan niebios i ziemi
Raczył mieć litość nad niemi.
Ale bóg na to: »Nie chciały dobrego,
Niech znoszą złego!

F. D. Kniaźnin.

*) Główny bożek pogański

BIEGUN PÓŁNOCNY.

Kto od nas dalej a dalej dąży w stronę południową, dostaje się do coraz cieplejszych krajów, aż przybędzie wreszcie do bardzo gorących w tem miejscu, gdzie jest właśnie połowa kuli ziemskiej. Miejsce to zowią ludzie równikiem.

Tam dzień przez cały rok miewa jednę długość, godzin 12, a tyle też i noc. Słońce świeci tam i pali w południe prosto w sam czubek głowy człowieka, a ztąd człowiek ma swego własnego cienia tyle tylko, ile stopami nóg zakryje.

Kto znowu od nas dąży ciągle ku stronie północnej, ten za morzem bałtyckiem, za krajem szwedzkim i Norwegią oraz Laponią dostaje się na morze lodowate. Tam wieczny mróz, morze zamarzłe albo ogromne kry i góry lodu połamanego niosące. Dzień tam w naszej porze letniej coraz dłuższy, w czasie naszej zimy coraz krótszy, aż wreszcie jest tam miejsce takie, w którem dzień trwa całe pół roku, a następnie znowu noc pół roku. Słońca nad sobą nigdy się nie widzi. Chodzi ono niziuteńko na samym brzeżku nieba i mało świeci a jeszcze mniej grzeje. To ostateczne miejsce, gdzie raz dzień, drugi raz znowu noc do największej dochodzą długości, nazywamy krajem podbiegunowym. Tam wieczna sroga zima i lody.

W tem ostatecznem miejscu podbiegunowem nikt jeszcze z ludzi nie był. Od wieków przecież opowiadają sobie ludzie po wszystkich krajach, że tam jest ląd stały, wielki a choć ze wszech stron otoczony lodami zamarzłego morza, to w samym środku tych lodów nie jest tak zimno i żyją też tam przeróżne ogromne i dziwaczne zwierzęta.

Od dawien dawna pragnęli ludzie dostać się w te zamarzłe strony, żeby poznać wszystkie zakąty ziemi i Boskie na niej urządzenia; od stu lat zaś wybierali się śmiali żeglarze i ludzie uczeni w strony podbiegunowe. Jedni ginęli bez śladu, bo śmierć znajdowali wśród lodów, inni posunęli się daleko ku północy, poznali wielkie przestrzenie tych stron lodowatych, ale wracać musieli często w największym niedostatku, głodzie, chorobie i nędzy, nie dotarłszy jednakże aż pod sam biegun. Wyprawy te kosztowały już wiele życia ludzkiego i wiele pieniędzy a jednakże znajdują się ciągle jeszcze mężowie odważni ze wszystkich narodów, którzy na nowo próbują szczęścia.

Dnia 24-go Czerwca 1893 r. wybrał się w te wieczne lody głośne Nansen, Norwegczyk z urodzenia, człowiek jeszcze młody, bo lat 35 dopiero, który raz już był w tych stronach. Ten obliczył sobie, że z krajów rosyjskich w Syberyi wielkie rzeki wpadają do północnego morza lodowatego i ogromne masy wody ciepłej w te wieczne wody wylewają. Woda ta musi jako ciepła rozpuszczać lody i w ten sposób ryje ona w nich rynnę z otwartą wodą, która dalej a dalej na północ się posuwa, bieguna północnego (niby środka lodowatego morza) dochodzi, a nawet przechodzi dalej za ten biegun ku stronie przeciwnej. Umyślił więc sobie puścić się na okręcie z prądem tej ciepłej wody z rzek syberyjskich a płynąć tą wodą, jak tam ona sama go popędzi, płynąć tak, jak tylko będzie można najdalej na północ. Gdyby zaś woda dalej już okrętu pędzić nie miała, natenczas chciał łódką ze skóry zwierząt morskich, albo też sankami po lodzie ciągnionemi przez psy do tego wprawne, dążyć dalej aż pod biegun i za biegun znowu do domu. Miał on na tę sprawę okręt z umysłu na to budowany, miał żywności na 5 lat, miał z sobą 16 ludzi, wypróbowanych żeglarzy po lodowatem morzu, miał nadto wszelkie narzędzia do dokładnego poznawania w tamtych stronach zjawisk i stósunków.

Przez półtrzecia roku nie dał znać o sobie i dopiero w miesiącu Lutym rozeszła się pogłoska, że wylądował na brzegach Syberyi. Wiadomość okazała się jednak nieprawdziwą. Dopiero we Czwartek 10-go Sierpnia nadeszła wiarogodna depesza, że Nansen przybył do portu Wardö zupełnie zdrów. Nansen przywiózł ze sobą tylko swego porucznika Johansena. Co się stało z resztą załogi, nie wiedział i prawdopodobnie została się na pokładzie statku. Nansen, gdy lody ścisnęły jego okręt, wybrał się w dalszą podróż do bieguna sankami, do których zaprzągnięto psy. Dosięgnął 86 stopni i 15 minut; brakło mu więc tylko 59 mil do bieguna.

Twierdzi on, że byłby z pewnością odkrył biegun północny, gdyby miał dostateczną ilość psów i kujaków (łodzi podłużnych). Brak ten zmusił go do powrotu. Zimę ostatnią przepędził w kraju Franciszka Józefa, gdzie wybudował dom kamienny, dość wygodny i dobrze od zimna zaopatrzony. Odkrył on kilkanaście wysp dotąd nieznanych i zanotował je na swojej karcie.

U kresu swojej jazdy nie znalazł żadnego lądu. Jak okiem zasięgnąć, tylko morze lodowe, pełne szczelin, któremi przeciska się silny prąd wody. Głębokie ono jest na 380 metr. Pierwsze 190 metrów zupełnie zimne. W dalszej głębokości termometr pokazywał pół stopnia ciepła.

Nansen wziął ze sobą balon objętości 250 metrów kubicznych. Jak sądzą, musiał go użyć do spostrzeżeń meteorologicznych i geograficznych. Puszczony w górę na 500 metrów, stawał się wygodnym punktem do badania. Jeżeli śmiały żeglarz nie udał się na nim do bieguna północnego, to widocznie kierunek wiatrów nie pozwalał mu na podobne doświadczenie lub też nie wierzył w możność wykonania tego przedsięwzięcia.

Siła magnetyczna bieguna północnego, o której tyle dotąd rozprawiano, może także dokładniej będzie ocenioną. Nansen posunął się dalej o 4 stopnie, co znaczy 60 mil geograficznych. Przestrzeń to znaczna i dotąd przez nikogo nie została zbadaną. Możebnem jest więc, że delikatne narzędzia fizyczne, jakie zabrał ze sobą, odkryją tajemnice magnetyzmu bieguna i staną się nieoszacowanemi dla nauki.

Jakby dla uwieńczenia dzieła, w kilka dni po powrocie Nansena zawitał do kraju także porzucony przez niego okręt »Fram«. Załoga była przy zupełnem zdrowiu a okręt w niczem nieuszkodzony.

Choć śmiały podróżnik norwegski nie dotarł do zamierzonego celu — bieguna północnego, jednakże podróż jego ze względu na wyniki naukowe, zdobyte w ciągu trzechletniego pobytu w krainach podbiegunowych, zajmie stanowczo jedno z pierwszorzędnych miejsc w szeregu wypraw, stawiających sobie za zadanie rozszerzenie widnokręgu wiedzy ludzkiej.

Zdobycze naukowe wyprawy Nansena przedstawiają się, w krótkiem streszczeniu, w rozmaitych dziedzinach wiedzy, jak następuje:

Jeografia. Odkryto nową wyspę w północnej części morza Karskiego, jak również kilka wysp około wybrzeży syberyjskich, otoczonych wodą słodką, a położonych naprzeciwko ujścia rzeki Olenek.

Geologia. Na wybrzeżach syberyjskich znalazł Nansen moreny i głazy erratyczne. Skały w części swej nadwodnej, mocno zwietrzałej, nie wykazywały rysów lodowcowych; natomiast na części podwodnej rysy te były widoczne, co obala dotychczasowe mniemanie, że równiny syberyjskiej nie pokrywały ongi lodowce.

Dla biologii ważnem jest znalezienie organizmów żyjących w zbiornikach wody na lodowcach. Na polach lodowych spotykano białe niedźwiedzie i foki, natomiast morsy spotykano tylko u wybrzeży. Na najwyższych stopniach szerokości jeograficznej większych zwierząt ani ptactwa przelotnego nie spotykano wcale. Na znacznych głębokościach morskich żadnych organizmów nie znaleziono.

Astronomia i żegluga. Położenie astronomiczne oznaczano za pomocą »instrumentu uniwersalnego«, zbudowanego przez Olsena w Chrystyanii. Instrument ten okazał się wybornym, zwłaszcza podczas panującego zmierzchu, kiedy ani słońca, ani gwiazd gołem okiem dojrzeć nie można było. Gwiazdy obserwowano w różnych stronach nieba, a długość geograficzną oznaczono za pomocą chronometru i badania zaćmień satelitów Jowisza. Do sprawy magnetyzmu ziemskiego zdobyto wiele przyczynków przez ciągłe badania w tym kierunku w ciągu całej podróży.

Oceanografia. Na północ-zachód od wysp Nowosyberyjskich rozcią-

ga się morze o głębokościach sięgających 3,800 metrów. Bardzo ciekawem jest dokonane na tem mało znanem morzu spostrzeżenie, że woda do głębokości 200 metrów wykazywała temperaturę niżej zera do $1\frac{1}{2}$ stopni Cels., podczas gdy w głębokościach większych nad 200 metrów, do samego dna, woda miała temperaturę wyższą nad zero o $\frac{1}{2}$ stopnia. Z tego spostrzeżenia wnioskować można, że morze europejskie rozciąga się na północ od Spitzbergen dalej ku wschodowi. Jakim sposobem jednak woda ciepła dostaje się do głębin morza polarnego, zagadnienie to pozostaje jeszcze niewyjaśnionem.

Spostrzeżenia meteorologiczne robiono codziennie. Używano do tego narzędzi zwykłych. Ciśnienie atmosferyczne i temperaturę oznaczano za pomocą aparatów Richardsa, a stopień wilgoci za pomocą psychrometru. Użytkowanie hygrometru włosianego okazało się również możliwem, gdyż osie instrumentu w suchem zimnie tych okolic nie rdzewiały.

Obliczony na wysokie stopnie zimna termometr toluolowy okazał się wybornym, a najwyższy stopień zimna, jaki wykazał, było 52 Cels. Obserwacyi zorzy północnej dokonano bardzo wiele, nigdy jednak w głębszych warstwach atmosferycznych.

Co do hygieny poczyniono bardzo dużo spostrzeżeń nadzwyczaj cennych, dla ludzi zmuszonych żyć w okolicach podbiegunowych. Okręt »Fram« okazał się doskonałem schroniskiem, w którem mróz nigdy nie dokuczał. Światła elektrycznego w kajutach dostarczały baterye akumulatorów zasilane elektrycznością za pomocą wiatraków. Sposób, w jaki Nansen z Johansenem, podróżując przez pola lodowe sankami ciągnionemi przez psy i kajakami, dotarli do najwyższego stopnia szerokości północnej, zdobywając sobie sami żywność po drodze, będzie stanowczo miarodajnem dla przyszłych podróży podbiegunowych.

Ciekawym bardzo jest sposób życia załogi »Frama« pod biegunem. Wstawano o godz. 8 rano i spożywano śniadanie złożone z kawy lub czekolady i mleka, którego wielki zapas w stanie zgęszczonym znajdował się na okręcie, świeżego chleba pieczonego na miejscu, konserw mięsnych i sera.

Po śniadaniu, spożywanem, jak i wszystkie posiłki, w całem towarzystwie, musieli ludzie o godz. 9 do 1 być zajętymi, odbyć przepisany spacer dwugodzinny pieszo lub na łyżwach śniegowych, nosić wodę świeżą, doglądać za nadzwyczaj dzikiemi psami, by się wzajemnie nie poszarpały, śnieg odkopywać i t. d. O godz. 1 obiadowano. Na obiad bywała zupa, najczęściej cebulowa, ryby konserwowane, albo budyń z proszku rybnego z mlekiem, masłem lub margaryną z kartoflami, których świeżych i suszonych był znaczny zapas, dalej legumina, bez której Norwegczyk obejść się nie może. Za napój służyła tylko limonada owocowa, marynarze radzili sobie w ten sposób, że ze spirytusu przeznaczonego do konserwowania zdobyczy łowieckiej przygotowywali grog. Po obiedzie odpoczywano do godz. 3, potem pracowano znów do godz. 6, po której podawano wieczerzę.

Tak spędzono czas na okręcie otoczonym lodami podbiegunowemi od 22 Września 1892 roku, do końca Czerwca 1896 roku.

MIŁOŚĆ CÓRKI.

(Podług opowiadania księdza X.)

Czterdzieści lat dobiega właśnie, gdy mnie, jako młodego kapłana wyprawiano gwałtem za granicę po zdrowie. Pewnej bowiem burzliwej, zimowej nocy wezwany zostałem do chorego górnika, od którego wracając, zbłądziłem wśród śnie-

żnej zamieci, zaziębiłem się i zachorowałem niebezpieczniej. Po kilku tygodniach wstałem wprawdzie z łoża, ale lekarze orzekli, iż jestem zagrożony suchotami, że tylko zmiana klimatu może mnie uratować.

Ja byłem wprawdzie i do dziś jestem zdania, że powietrze ojczyste jest każdemu człowiekowi najzdrowsze, mniejsza już czy on zdrowy, czy chory, więc nie miałem wcale ochoty opuszczać moich owieczek. Musiałem jednak uledz prośbom rodziny i parafian, a rozkazom przełożonych i lekarzy.

Wysłano mnie tedy do Szwajcaryi, gdzie istotnie po pewnym czasie uczułem się zdrowszy. Co do mnie, to byłem przekonany, że w domu byłoby tak samo, ale lekarze wydali okrzyk tryumfu, polepszenie przypisali górskiemu powietrzu, zapowiadając mi zarazem, iż dwa lata muszę zostać w Szwajcaryi, jeżeli chcę zupełnie do sił i zdrowia wrócić. Ja naturalnie pragnąłem z całej duszy sił i zdrowia, aby módz w parafii rzetelnie pracować, przeto zastósowałem się do rozkazu doktorów i postanowiłem wytrwać do lata na onem wygnaniu.

Z początku tęskniłem bardzo za Śląskiem, lecz po pewnym czasie przyzwyczaiłem się nieco do miejsca mego nowego pobytu i jąłem się rozglądać wokoło siebie, aby na obczyźnie nauczyć się czegoś, poznając kraj obcy i jego mieszkańców; pocieszając się przytem myślą, że może tę naukę zużytkuję kiedyś dla moich współziomków, gdy wrócę do domu.

Niewielkie miasteczko Ribanville (czytaj Ribanwil) położone w malowniczej dolinie, otoczone wzgórzami, przeznaczono mi na mieszkanie. Jako chory odwiedziłem przedewszystkiem miejscowego lekarza, pana doktora Mounier (czytaj Munie), człowieka nadzwyczaj szanowanego i kochanego w całej okolicy.

Ponieważ wkrótce zaprzyjaźniłem się z całym domem doktora, a z nim samym robiłem częste wycieczki do biednych i chorych, przeto po kilku tygodniach wszyscy mieszkańcy Ribanville i okolicznych wiosek byli moimi znajomymi, a wielu przyjaciołmi.

Chociaż Szwajcarzy są oświeceni, przemyślni i pracowici, jak rzadko który naród, to przecież dużo jest pomiędzy nimi biednych. W Szwajcaryi bowiem, jako w kraju niezmiernie górzystym, w którym są najwyższe w Europie góry Alpy, wiecznym śniegiem na wierzchołkach pokryte, niewiele jest ziemi zdatnej do uprawy, to też mieszkańcy tej skalistej krainy trudnią się głównie kupiectwem, przemysłem i hodowaniem wielkich stad bydła, z którego mleka wyrabiają swe własne szwajcarskie sery. Mimo to wszystko wielu Szwajcarów, nie znajdując chleba w domu, choć ziemię rodzinną kochają gorąco, opuszczają na niejaki czas (nigdy nie na zawsze, a przynajmniej wyjątkowo tylko) ojczyznę, aby po za jej granicami szukać zarobku.

Tymczasem bawiąc kilka miesięcy w Ribanville, spostrzegłem ze zdziwieniem, że nikt z miasta i okolicy nie opuszcza domu i nie idzie szukać chleba u obcych. Wogóle ludność tej miejscowości była niezwykle oświecona, dzielna i cnotliwa.

Były tu nadto różne urządzenia, związki i towarzystwa, mające dobro powszechne na celu, jakie gdzieindziej dopiero później, z biegiem lat zaprowadzono. Wyglądało to tak, jakby Ribanville i jego okolica wyprzedził inne miejscowości o wiele lat w postępie.

Zastanawiało mię to bardzo i pytałem o przyczynę tego postępu doktora pana Mounier, lecz ten zbywał mię tem i owem, przypisywał to wielkiej oświacie, doskonałym szkołom, stowarzyszeniom, lecz zkąd właśnie przyszło do tego wszystkiego, nie mówił.

Niebawem spostrzegłem, że zacny lekarz niechętnie o tem mówi, ale właśnie milczeniem swojem zaostrzył moję ciekawość, tak, że postanowiłem u innych osób zasięgnąć dokładniejszych wiadomości.

Jednego dnia na samotnej przechadzce spotkałem pewnego zacnego staruszka, mieszkańca Ribanville. Gawędziliśmy o tem i owem, wracając ra-

zem do domu; pomiędzy innemi opytałem starca, czemu to jego rodzinne miasteczko zawdzięcza tak wielki dobrobyt.

— O, wierze, dobrodzieju! — zawołał stary mieszczanin, z widocznem ożywieniem — przed laty nie wyglądało tak Ribanwille, jak dziś; gorzej jeszcze było u nas, niż w innych osadach, biednych i opuszczonych; ja tego tak dobrze nie pamiętam, ale wiem od mego św. pamięci ojca. Dopiero od czasu, gdy w naszem miasteczku osiedlił się doktor Maunier, dziad rodzony dzisiejszego naszego doktora, wszystko się zmieniło na dobre, obecnie stawiają nas za wzór innym.

— Jakto! Więc i dziadek pana Maunier był lekarzem? Sądziłem, że to ojciec jego był także doktorem.

— Tak; ojciec i dziadek pana Maunier byli doktorami u nas; już trzeci lekarz Maunier troszczy się o nasze zdrowie… ba! o całe nasze szczęście doczesne i wieczne nawet; nasz doktór świeci wszystkim cnotą i pobożnością, zachęcając do uczciwego życia.

— Prawdziwe to szczęście, mieć takiego współobywatela w swem gronie.

— O, prawda! prawda! — przywtórzył im staruszek z zapałem i mówił dalej, z widoczną radością wychwalając rodzinę doktora:

— Od lat przeszło sześćdziesięciu Maunierowie wszystkie siły swoje poświęcają dla dobra drugich, dla szczęścia współbraci. Wszystkie fabryki w okolicy zawdzięczają im swój początek i rozwój; w całem Ribanville nie ma jednego kupca, rzemieślnika, któryby ich nie błogosławił. Że mamy w mieście piękny kościół, trzy szkoły, lazaret, przytułek dla starców i wielki wychowawczy zakład dla sierót, winniśmy dziękować trzem Maunier'om.

— No, proszę! — zawołałem zdumiony. — Wiedziałem, że doktor jest dzielnym człowiekiem, troszczącym się więcej o bliźnich, niż o siebie, ale nie spodziewałem się, że i przodkowie jego byli tak zacnymi obywatelami.

— A jednak tak jest! Maunier'owie to nasza chluba! Tem więcej, że dziad żyjącego dziś doktora, był synem prostego robotnika; wielką pracą dobił się niezwykłego znaczenia, a nawet ogromnego majątku. Ojciec mój mówił nieraz, że ludzie powiadają, iż Pan Bóg tak błogosławi Maunierom, dla ich wielkiej pokory i ścisłego spełniania czwartego przykazania Bożego, z których ród ten słynie.

— Znana to rzecz, że prawdziwie wielcy ludzie są nad podziw pokorni i skromni — zauważyłem. — I to prawda, że błogosławieństwo swoje przyobiecał Pan Bóg tylko tym, którzy szanują i kochają swoich rodziców.

— Najstarszy z doktorów Maunierów — opowiadał mój staruszek dalej — choć bogaty i wielce szanowany, nigdy nie cisnął się do wyższych, nie ubiegał się o przyjaźń wielkich. Nawet małżonki nie szukał w wysokich domach, chociaż go swatano z najpierwszemi pannami w Genewie; zacny doktór wziął sobie panienkę z niskiego stanu, ubogą sierotę bez rodziny.

— To niepodobna! — zawołałem zdziwiony — bo znałem starą panią Maunier, babkę doktora mieszkającego w jego domu.

— A choć to była staruszka ośmdziesięcioletnia przeszło, rozmawiając z nią często, zauważyłem u niej bardzo wszechstronne wykształcenie, rzadkie nawet u kobiet najwyższych stanów, i nadzwyczaj pańskie, wykwintne wychowanie, które mnie nieraz zdumiewało w babce doktora z małego miasteczka. Byłem też pewien, że staruszka musiała pochodzić z bardzo wysokiego stanu.

Na mój wykrzyknik powątpiewania, stary mieszczan odparł:

— Ksiądz dobrodziej wątpi, ale to prawda. Żyje jeszcze kilka osób, które starą panią Maunier pamiętają panną. Była ona córką ubogiego staruszka; kto on był nie wiem i nikt nie wiedział, bo nie pochodził z naszych stron; zgrzybiały już był pono, niezdatny do żadnej pracy, gdy się do nas z córką sprowadził. Rodziny zdaje się żadnej nie mieli,

ani majątku, bo nigdy nikt u nich nie bywał, a panna igłą zarabiała na życie swoje i ojca, którego podobno nadzwyczajnie kochała. To też pewnie skłoniło pana doktora, że ją pojął za żonę. Mówiono w mieście, że pan Maunier wziął ją w jednej wytartej sukience, a mimo to tak czcił i szanował młodą żonę, jakby księżniczką była. Gdy ją zaczął otaczać nadzwyczajnemi zbytkami i wygodami, a prawie na ręku nosić i prochy przed nią zmiatać, ludzie ogromnie się dziwili i prawie sarkali, bo mówili, na co takie honory i wymysły dla prostej szwaczki, która ich wcale zwyczajna nie była.

— Trudno mi uwierzyć w niskie pochodzenie starej pani Maunier; musiała ona w dzieciństwie i pierwszej młodości być w innem położeniu, niż gdy przybyła do Ribanville — zauważyłem. — Ale bądź co bądź musiała zasługiwać na miłość i szacunek, skoro taki zacny i rozumny człowiek, jak pan Maunier, oddawał jej jedno i drugie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Laska** od czasów starożytnych była godłem władzy i dostojeństwa. Już w epoce narzędzi kamiennych spotykamy gałki z kamienia mające otwór do osadzenia na kiju, które nie tyle jako broni, ile za godła jakieś służyć musiały. Laska krótka z dużą gałką nazwana buławą lub buzdyganem, była godłem władzy hetmańskiej i regimentarskiej. Laska pasterska u góry mocno zakrzywiona, stała się pastorałem biskupim. Laska niewielka z naśladowanym kwiatem w miejsce gałki, przybrała znaczenie berła królewskiego. Laska wysoka z dużą gałką stała się godłem odźwiernych, wysoka zaś z małą gałką była symbolem godności marszałkowskiej. Skrzetuski w »Prawie polskiem« powiada, że »znakiem dostojeństwa marszałkowskiego jest laska przy urzędzie imieniem królewskiem oddawana przez jednego z pieczętarzów«. »Marszałek starej laski«, to znaczy marszałek sejmu poprzedniego; »do laski projekt oddawać«, znaczyło składać go przewodniczącemu obradom sejmowym. Gdy mowa była o sejmie, mówiono, że odbył się »pod laską« tego lub tamtego marszałka. Laskę, która była godłem sądu, zwano po łacinie corylus. Był zwyczaj, że kto chciał założyć się o zysk lub stratę swej sprawy, kładł zakład na stole sądowym za laską. Ztąd zakład podobny zwał się corylus lub zalaska. Czacki powiada, że skarżący się, podług woli swojej kładł pieniądze, jeżeli przegrał sprawę, to je tracił, jeżeli zaś wygrał, to odbierał swój t. z. wykład a strona pozwana drugie tyle musiała mu dodać (coś podobnego mamy dziś w sądach rabinów). Marszałkowie nosili przed królami laskę i przewodniczyli w ceremoniach dworskich. Naśladowali ich w tem biskupi i panowie, którzy na dworach swoich utrzymywali także marszałków. Panów naśladowała szlachta, a że marszałków nie miała, więc tylko podczas rodzinnych uroczystości wybierano czasowych, aby kierowali zabawą i obrzędami. Nie mogło być wesela bez marszałka, który podniesieniem lub uderzeniem laski dawał znak do wnoszenia potraw na ucztę, zaczynania lub przerwy w tańcach itd. Za szlachtą poszli mieszczanie i kmiecie, bo obyczaj narodowy był jeden w Polsce, tylko do zamożności i wykształcenia stósowany. Lud wiejski zachował go najwierniej, bo dotąd na weselach kmieci przewodniczy wszystkiemu marszałek, którego laska strojna w rutę i wstążki, zowie się »rózgą weselną«. W dobie Piastów pozywano kmieci na wiece i do sądu przez uderzenie w drzwi ich chat »laską opolną«. W dokumencie z roku 1288 mamy już wyraz »laska opolna«.

FRASZKI.

* **Dwóch ludzi** spotkało się na ulicy i żaden nie chciał drugiemu ustąpić. Nareszcie jeden z nich gniewnie zawołał:

— Osłom nie ustępuje się nigdy!

— Ale ja zawsze, — odpowiedział drugi i uchylając grzecznie kapelusza, usunął się na bok.

* **Na wsi.** Walek gałganie! znowu się spiłeś! jak ty jedziesz gapiu!

— Jaśnie Panie, ja trzeźwy, jeno ten owies od żyda, o widać kufa kiele niego stojała i bez to się kunie popili!

* **Bądź tak dobry** i daj mi dziesięć reńskich, — mówił pewien młody, lekkomyślny człowiek do swego oszczędnego przyjaciela.

— Nie, nie dam ci nic, już choćby dla tego samego, że nie mówisz szczerze.

— Jak to?

— Bo chcąc szczerze powiedzieć, powinieneś rzec, proszę cię, bądź tak głupi i daj mi 10 reńskich!

* **Ach tak** mię bolą zęby, że nie wiem, czy do domu dojdę?

— A które mamusię bolą, czy te wplawiane?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Uszanowanie starców, to najlepszy obraz oświaty i szlachetności narodu. Jakiekolwiek były wady tych ojców naszych, jakiekolwiek ich winy — my winniśmy cześć należną im okazać.

Przykład tutaj opowiedziany niech strzeże nas od przewinień względem ludzi osiwiałych. Choć może oni mniej od nas posiedli nauki, choć może nie zrobili tego w życiu długiem co my w krótkiem, pomnijmy zawsze, że za nim włos ich pobielał, a skroń poorana została, wiele lat przeszło i życie zmęczyło.

Nie ten najstarszy, kto najwięcej liczy lat, ale ten zawsze godzien uszanowania, kto stoi nad grobem i włos ma siwy.

Dla tego też — owo zdanie:

> Szanuj włos siwy,
> Będziesz szczęśliwy —

złotemi literami w każdym domu powinno być wypisane.

—⋙✵⋘—

KURPIE.

Odnogą Mazurów są Kurpie, którzy mieszkają nad brzegami Narwy, gdzie leżą miasta Ostrołęka i Myszyniec. Nazwa »Kurp« powstała od obuwia, wyrabianego z łyka lipowego lub skór zwierzęcych. Sami Kurpie, uważając tę nazwę za szyderstwo, zwali się »Puszczakami«, gdyż mieszkali dawniej w puszczach Zielonej, Skwańskiej i Myszyńskiej. Lud ten cieszył się kiedyś największą swobodą pomiędzy włościanami polskimi. »Swobodny Kurp — pisze K. Wł. Wójcicki — polował na całej puszczy, pędził za niedźwiedziem, strzelał brodate żubry i rącze jelenie, darł się na drzewo, by z dzikich barci zbierać plastry miodu, stawiał więcierze na swoich rzekach, a zwierz dziki i ptak lotny i ryby równą mu daninę spłacały. Nie znał tego, ktoby mu zuchwale odważył zabronić łowów w obszernych, nieprzejrzanych kniejach. Był to pan puszczy, wolny jak cietrzew. Bartnictwo, łowy i ćwiczenia w strzelaniu były wyłącznem nieomal zatrudnieniem Kurpia. Z dziecka do strzelby się przyzwyczajał; na wysokiem drzewie kładł ojciec kawał chleba, przeznaczony za jadło dla małego syna i ten dopóty pokarmu nie dostał, dopóki celnym strzałem położonego chleba z wierzchołka drzewa nie strącił. Dla tego co Kurp, to był dobry strzelec; ztąd też powstało przysłowie: »Strzela jak Kurp« gdy chciano oznaczyć dobrego myśliwca.«

Posłuchajmy co pisze Chmieliński o Kurpikach czyli dzieciach kurpskich. »Ojciec od młodości uczy syna strzelać do celu. Chłopiec ledwo 5 lub 6 lat skończy, już zaczyna się uczyć strzelać. W pół roku już musi umieć nieźle trafiać do celu, a w rok nauki strzeleckiej tak się już chłopiec wyćwiczy, że odtąd sam na siebie musi zarabiać. Od rana wychodzi ojciec z synami swymi w lasy ze strzelbą. Każdy sobie idzie w swoją stronę szukać zwierzyny. Tak polując dzień cały, śpiewają wesołe piosnki myśliwskie:

> Pojedziemy na łów, na łów,
> Towarzyszu mój,
> Na łów, na łów, na łowy,
> Na zielone dąbrowy,
> Towarzyszu mój.

Nad wieczorem schodzą się razem i każdy kładzie przed ojcem ubitą zwierzynę. Który syn lepszym jest strzelcem i więcej zwierzyny ubije, ten dostaje ze sprzedaży ubranie, ładny kapelusik czarny, okrągły z czaplem piórem i nożyk. Chłopiec, kiedy ma dużo nożyków, to kraje innym nożykiem chleb, mięso innym, struże drzewo innym i zabija zwierzynę innym; nawet używa innego nożyka w święto, a innego na codzień. Ale już najszczęśliwszy z chłopców jest ten, który dostanie siekierkę, bo ma sławę wtenczas, że dobry strzelec, bo wtedy, gdy Kurpik idzie do kościoła, albo do dworu lub na wesele, to przypasuje siekierkę do pasa i chlubi się nią, jak największym klejnotem. Długo chłopiec musi czekać na ową siekierkę, bo nie wolno mu jej nosić, dopóki jej nie zasłuży. Są chłopcy, którzy już w 7-mym lub 8-mym roku noszą siekierki, a są inni, którzy w 13 lub 18 jeszcze jej nie zasłużyli.

W dziesiątym roku muszą chłopcy składać popis strzelania przed zgromadzeniem najlepszych strzelców. Na taką uroczystość schodzą się chłopcy na jedno miejsce i wystawiają rusztowanie na 10 łokci wysokie. Na wierzchu rusztowania stoją dwa pręty uciosane, między które wszczepiają bochenek chleba świeżo upieczonego, a nad tym chlebem zawieszają na wstążkach rozmaitego koloru tarcz białą do słupa przybitą. W środku tarczy jest ołowiany guzik. Kto w tę tarcz trafi cztery razy, dostaje siekierkę i ładny nożyk. Który zaś chłopiec od razu w guzik trafi, dostaje siekierkę, nożyk i tarcz. Potem go wszyscy trzy razy około tarczy oprowadzają, a od dalszego strze-

lania jest uwolniony. Tarcz zaś inną przybijają. Który chłopiec w tarcz nie trafi, tylko w bochenek chleba, tego wyśmieją, poczem mu więcej strzelać nie wolno. Zawstydzony chłopiec idzie smutno do domu i ćwiczy się w strzelaniu do nowego popisu. To też Kurpiki są tak doskonałymi myśliwymi, że trzynastoletnie chłopcy gonią już za wilkiem, niedźwiedziem lub dzikiem.«

Praktyczne rady.

— **Katar (ryma).** Dostać kataru to w czasie wiosennym lub jesiennym bardzo łatwo. Dobrym środkiem na katar ma być następujący: Weź łyżeczkę proszku kamforowego, wsyp do garnuszka lub szklanki więcej głębokiej jak szerokiej, i napełń ją do połowy wrzącą wodą. Potem zwiń papier w trąbkę, (jakie są w sklepach na rozmaite towary), nastaw na naczynie, z góry zrób otwór tak wielki, żeby do niego nos wrazić i połykaj nosem gorącą parę kamforową przez 10 do 15 minut. To samo powtórz za jakie 4—5 godzin. Podobno po trzecim najwyżej razie ustąpi i najupartszy katar.

— **Wywabianie plam z rzeczy wełnianych.** Proszku boraksowego 20—30 gramów rozpuścić w pół kwarcie mocno gorącej wody, a gdy wystygnie nacierać tym płynem miejsca splamione. Jest to nieoszacowany środek do usuwania z rzeczy wełnianych wszelkich tłustych plam.

Rozmaitości.

* **Co to jest niedzielny strzelec?** Strzelec niedzielny jestto niebezpieczne, podobne do myśliwego stworzenie, które bywa zwykle zamożne i posiadające znaczne stanowisko w życiu. Mimo swej dobrodusznej powierzchowności jest on okrutny i bronią palną zagraża zwolennikom polowania oraz naganiaczom; zabija szybko i pewno wszelkie psy łowcze, drze suknie i buty w sposób najlekkomyślniejszy i zanieczyszcza grunta łowieckie odpadkami od kiszek, szynek lub papierem od sera. Strzelec niedzielny rozporządza zwykle szczególnie rozwiniętym darem wymowy, zwłaszcza w opowiadaniu najbardziej awanturniczych czynów bohaterskich i wypadków łowieckich. Szkoda, jaką wyrządza, przewyższa korzyści, które daje. Ostatnie polegają na tem, że jest bardzo pożyteczny dla zwierzyny, ostrzegając ją zawczasu przez strzelające sygnały przed strzelbami myśliwskiemi i zabijając psy gończe. Jest wiernym towarzyszem myśliwych, jakkolwiek go oni bowiem traktują z góry, nosi za nimi pożywienie i naboje w postaci mnóstwa przysmaków, wina i likierów i płaci bajeczne ceny za psy źle tresowane. Wspiera on handel zwierzyną przez wielkie zakupna i zużywa 90 procent wyrabianych przez przemysł materyi i kapeluszy myśliwskich, tak samo, ma on wielkie znaczenie dla wyrobu prochu. Urzędownie wykazano, że w r. 1892 liczyły Niemcy i Austro-Węgry 46,853 strzelców niedzielnych, którzy w owym roku wystrzelali 62,985 naboi. Zabili oni 3 silne i 118 słabszych sztuk bydła, 632 kóz różnego rodzaju, 718 owiec, 19,215 psów gończych i 2562 zwyczajnych, 35 rogaczy, 4153 saren, 218 zajęcy, 435 kuropatw i 718 strzelców i naganiaczy (11,259 tylko zraniono). Wynagrodzeń za szkody zapłacili 21,728,913,27 marek, kwota zaś, jaką zapłacono jako wynagrodzenie za poranienie, wynosiła 15,783,361 mk.

* **Tunel pod Simplonem.** W senacie włoskim rozbieranym jest projekt prawa co do układu ze Szwajcaryą o przebicie tunelu i przeprowadzenie kolei żelaznej przez górę Simplon, albo — jak się ona po włosku nazywa — przez Sempione. Parlament już uchwalił odnośne prawo, więc potrzebnem jest tylko potwierdzenie senatu. Umowa przedwstępna zawartą została na początku roku bieżącego, bogate miasta Genua i Medyolan, dwa wielkie centra handlowe włoskie, zobowiązały się ofiarować cztery miliony lirów na budowę kolei, pod pewnemi warunkami, które trudności nie nastręczą. Korzyści nowej linii kolejowej, łączącej Włochy krótszą drogą z Francyą, Anglią, Szwajcaryą, będą same za sobą przemawiały. Nie ma zatem wątpliwości, iż zarówno Włochy jak Szwajcarya pospieszą się z uchwaleniem prawa i z budową.

Z Medyolanu do Paryża odległość wynosi obecnie przez Mont Cenis 945 kilometrów, przez Gotard 904 klm., a przez przyszłą linią Simplonu wyniesie tylko 854 klm. W tym samym stósunku zmniejszy się odległość z Calais, Wenecyi z Paryżem, Genui z Calais itd. Najwięcej zyska port genueński, który robi bardzo wielką konkurencyą Marsylii i kto wie, czy niezadługo nie odbierze mu tranzytu większej części towarów do Europy przeznaczonych; zyskają również kantony Szwajcaryi zachodniej: Vaud, Neufchatel, Fryburg, Genewa itd. Jak dotychczas, część ta Szwajcaryi była na łasce portu marsylskiego i kolonii francuzkich. Inną jeszcze korzyścią dla handlu międzynarodowego będzie walka taryfowa na przewóz towarów i osób pomiędzy dwoma towarzystwami Cenis i Gotarda, a nowem towarzystwem Simplonu. Co prawda, to budowa nowej linii nie zostanie ukończoną przed jakiemi 10 laty i wtedy dopiero ta ostatnia stanie się niebezpieczną.

* **Najdroższem pachnidłem** jest czysty olejek różany. Fabrykują go mianowicie w Bułgaryi i Persyi. Obecnie kosztuje kilogram takiego olejku do 800 marek, lecz ponieważ w tym roku sprzęt róż w Bułgaryi nader był obfity, sądzą, że ceny nieco spadną.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.